



WOJCIECH CHMIELARZ

DŁUG HONOROWY

Cykl z Bezimiennym

MARGINESY



**WOJCIECH
CHMIELARZ**

DŁUG HONOROWY

MARGINESY

COPYRIGHT © BY Wojciech Chmielarz

COPYRIGHT © BY Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2021

PROLOG

Obudziło go szarpnięcie za ramię. Z trudem podniósł powieki, a w jego głowie wciąż wyświetlały się obrazy ze snu: kolorowe i radosne. Letni dzień, smak lodów, promienie słońca na skórze, chłodna woda jeziora i wyścigi na motorze po leśnych ścieżkach. Tak mu się to podobało, że aż zapłakał, żeby zaprotestować przed wrywaniem go z tego marzenia. Ale wtedy matka go spoliczkowała, a on natychmiast otrzeźwiał. Bo ojciec go bił. Ręką, pasem, kijem od szczotki. Nie mocno, nie tak, żeby zrobić krzywdę. Po prostu stanowczo potrafił wyrazić swoje niezadowolenie. Za to matka nigdy.

Znów go szarpnęła, a on instynktownie chwycił ją za szyję i objął. Działo się coś złego. Ciemne kłęby dymu uderzyły go prosto w twarz, odebrały mu oddech. Zadrżał przerażony i jeszcze mocniej wtulił się w matkę. Jej włosy pachniały szamponem pokrzywowym.

– Ciii... cichaj... ci... – wyszeptwała, a potem popędziła z nim w stronę wyjścia.

Nie wiedział, jak odnalazła drogę. On zgubiłby się w tej ciemności i śmierzącym dymie, z którego raz po raz strzelały chciwe płomienie.

– Mama! – krzyknął.

Uderzyła barkiem o drzwi, zachwiała się i prawie oboje się przewrócili, ale jakimś cudem utrzymała równowagę. Teraz to zobaczył – ich dom płonął. Ogień pożerał już dach, wybił okna, lizał ściany.

Postawiła go na ziemi. Otarła mu twarz, raz, drugi, w szorstkim, ale i pełnym czułości geście.

– Mama! – krzyknął ponownie i wyciągnął palec w stronę płonącego domu. Chciał go jej pokazać. Nie rozumiał, jak może być taka spokojna, wiedząc, co się dzieje za jej plecami.

– Zostań tutaj – powiedziała. – Zostań i się nie ruszaj. Rozumiesz?

Nie rozumiał.

– Zostań tutaj! Nie ruszaj się! – powtórzyła i dopiero wtedy do niego dotarło. Pokiwał głową.

Pocałowała go szybko w czoło, a potem popędziła z powrotem, kuląc się i zasłaniając twarz ramieniem. Zniknęła w środku, wśród dymu i płomieni.

– Mama! – wrzasnął teraz tak głośno, że aż go zabolalo.

Ruszył za nią, ale zatrzymał się po kilku krokach. Od bijącego stamtąd żaru nie mógł złapać oddechu, paliła go cała skóra. Cofnął się i padł na kolana.

– Mama – powtórzył już ciszej.

Patrzył na dom szeroko otwartymi oczami, żeby nie przegapić momentu, kiedy mama wyłoni się z budynku.

– Tam jest! – Usłyszał krzyk z boku.

Mimowolnie odwrócił głowę. Najpierw ujrzał dwa cienie. Wielkie, czarne, o krawędziach ostrych jak brzytwa ojca. Przypominały potwory czekające tylko na okazję, żeby go

pożreć. Ale chłopiec był już na tyle duży, by wiedzieć, że cienie nie mogą go skrzywdzić. One stanowiły zaledwie ostrzeżenie przed prawdziwym zagrożeniem. Dwoma męskimi sylwetkami. Ledwo je widział przez załzawione oczy, ale już słyszał.

– Łapać kurwia! Łapaj czarnucha!

Jego serce na moment się zatrzymało. Mama kazała mu czekać, nie ruszać się z miejsca, ci dwaj jednak nie mieli dobrych zamiarów. Słyszał wściekłość w ich głosie podlaną strachem, chociaż to nie ich dom płonął. Czemu więc mieliby się bać? A ten gniew... Inny niż sąsiada, kiedy chłopiec i jego brat podbierali mu jabłka z sadu, inny niż sklepowej, gdy oskarżyła ich o kradzież. To nie oni ukradli, ale nie wysypali tamtych chłopaków, chociaż ci tyle razy rzucali w nich kamieniami i wyzywali. Nie, gniew tych dwóch był bardziej pierwotny, jakby wypływał z trzewi, z tej głębi duszy, w której ciągle jesteśmy zwierzętami.

Ostatni raz spojrzął na dom, pewny, że mama się z niego wyłoni, a potem, kiedy ci dwaj byli tuż-tuż, poderwał się i skończył w bok. Poczul na włosach palce jednego z nich, już się zaciskały, próbując go chwycić, i usłyszał krzyk, kiedy tamten się poślizgnął i wyrócił.

Nie oglądał się za siebie. Biegł. Las zaczynał się tam, gdzie kończyło się ich podwórko. Minął starą pordzewiałą wannę, która w niejednej zabawie udawała statek, ominął kurnik i klatki dla królików. Zamiast popędzić przed siebie, w stronę jeziora, skręcił w bok, w gęste krzaki. Znał korytarze pomiędzy gałęziami, przeczołgał się tamtędy, a potem przylgnął do ziemi z mocno bijącym sercem.

Usłyszał, że tamci dwaj pobiegli za nim, ale dali się nabrać i ruszyli nad wodę. Przeczłogał się z powrotem i zaczął się skradać w stronę domu. Chciał sprawdzić, czy mama już wróciła. Nie był pewien, kim są ci dwaj mężczyźni. Wydawało mu się, że poznawał głosy, ale nie potrafił ich przypasować do twarzy nikogo ze wsi.

Przystanął przy jednym z drzew i kucnął. Dom wciąż płonął. Nikt nie próbował gasić pożaru, chociaż stali tam jacyś ludzie. To dziwne, przecież kiedy zapaliła się stodoła Robaków, to każdy rzucił swoją robotę, żeby im pomóc. Na niewiele się to zdało. Zanim przyjechała straż pożarna, ze stodoły pozostały zgłiszczka, ale robili, co było w ich mocy. Spłonęło przechowywane tam drewno, siano i ten jeden koń, co go jeszcze mieli. Została po nim tylko zwęglona masa, którą potem oglądał ukradkiem, chociaż dorośli przeganiali wtedy dzieci. Długo jeszcze śniła mu się po nocach.

Dlaczego nikt nie pomógł mamie? Dlaczego nikt nie gasił pożaru? Co się działo?

Niczego nie rozumiał.

Wpatrywał się w dom. I nagle zauważył sylwetkę na tle płomieni. Mama. Był tego pewien. Szła z trudem. Trzymała coś w rękach. Jego braciszka, siostrzyczkę. Chyba oboje. Chciał krzyknąć z radości i pobiec w ich stronę. Pomóc mamie, zanim tamci dwaj wrócą znad jeziora. I wtedy rozległ się potężny huk, tak wielki, że aż się skulił. W górę wzbijała się chmura ognia. Cała ich chałupa zadrżała, zafalowała, jakby była z gumy, a dach załamał się z trzaskiem i spadł prosto na próbującą wyjść z budynku kobietę.

– Mama! – krzyknął i poderwał się z ziemi.

Nie zdołał jednak przejść nawet jednego kroku, kiedy ktoś chwycił go za kark i przytrzymał, a potem przyciągnął do siebie.

– Tutaj jesteś! – Usłyszał tuż nad swoim uchem.

Szarpnął się, próbując się uwolnić. Zamachnął się łokciem i poczuł, że trafił w brzuch napastnika. Tamten syknął, ale zamiast go puścić, chwycił mocniej. Ramieniem otoczył jego kark, dłonią zatkał usta.

– Mam cię – powiedział i podniósł.

Próbował go jeszcze kopnąć, ale ramię mężczyzny się zaciskało. Z każdą sekundą tracił siły. Ostatnią rzeczą, jaką zobaczył, zanim zapadła ciemność, był płonący dom i ludzie obojętnie przyglądający się jego zagładzie.

Obudziłem się w chwili, kiedy zjeżdżaliśmy z autostrady A2 na drogę ekspresową S3. Zerknąłem na zegarek. Wyjechaliśmy z Warszawy trochę ponad dwie godziny temu. Biorąc pod uwagę odległość, jaką pokonaliśmy, Czarny pędził ze średnią prędkością przeszło dwustu kilometrów na godzinę. Cieszyłem się, że wszystko to przespałem. Nie lubiłem szybkiej jazdy, zwłaszcza gdy siedziałem na miejscu pasażera, który nie ma na nic wpływu.

– Chrapałeś – odezwał się Czarny.

– Niemożliwe – mruknąłem, przeciągając się.

– A jednak. Chcesz się zatrzymać, żeby coś zjeść?

Pokręciłem przecząco głową.

Na S3 płynnie włączył się do ruchu i przycisnął pedał gazu. Starłem się nie patrzeć na strzałkę na prędkościomierzu. Sięgnąłem do kieszeni po zdjęcie dziewczyny, przez którą znalazłem się w rozpędzonym bmw razem z romskim gangsterem. To znaczy sprawa była trochę bardziej skomplikowana. W wielkim skrócie: Czarny wyświadczył mi przysługę i w zamian zażądał, żebym się odwdzięczył, kiedy przyjdzie czas. Normalnie nie wchodzę w takie układy, ale wtedy znajdowałem się pod

ścianą. Od tej umowy zależało życie kilku osób. Zgodziłem się. Przez pewien czas panował spokój i miałem nadzieję, że Czarny nigdy się nie odezwie. Ale jak mówi przysłowie, nadzieja matką głupich. Rom zadzwonił i zażądał spotkania, a podczas niego podał mi fotografię, którą teraz trzymałem w dłoniach. Była na nim ładna dziewczyna. Na oko miała siedemnaście, może osiemnaście lat. Brązowe włosy sięgały jej ramion, a niebieskie oczy z ufnością patrzyły w przyszłość.

– Opowiedz mi o niej jeszcze raz – powiedziałem.

Czarny zerknął na zdjęcie.

– O niej? – westchnął. – Aleksandra Michowska. Siedemnaście lat. Uczennica liceum. Zamordowana trzy miesiące temu, w czerwcu. Ktoś pobił ją tak, że połamał jej wszystkie kości, a potem załadował na łódkę i próbował spalić, urządzając pogrzeb wikingów.

– Kim była?

– Właśnie ci powiedziałem.

– Kim była dla ciebie, skoro chcesz, żebym znalazł osobę, która to zrobiła.

Czarny gwałtownie wyhamował, kiedy przed nami jedna ciężarówka zaczęła wyprzedzać drugą. Wyrzuciło mnie do przodu i tylko pasy sprawiły, że nie uderzyłem nosem w szybę.

– Debil! – warknął i nacisnął kilka razy klakson. – Widział, że jadę!

– Kim była dla ciebie ta dziewczyna? – powtórzyłem pytanie.

– Nikim.

– Gdyby była nikim, nie kazałbyś mi się tym zająć.

– Może przeczytałem jej historię w prasie i mnie poruszyła? – odpowiedział.

Ciężarówka przed nami zakończyła manewr wyprzedzania i Czarny mógł przyspieszyć. Kiedy ją mijaliśmy, wychylił się, próbując dostrzec, kto siedzi w kabinie. Wymamrotał pod nosem kilka przekleństw.

– Nie podejrzewam cię o taką wrażliwość – kontynuowałem temat. – Jeśli mam się tym zająć, to muszę znać wszystkie fakty.

– Ta dziewczyna jest dla mnie nikim – powiedział. – Nigdy w życiu nie spotkałem ani jej, ani nikogo z jej rodziny.

– Ale jedziemy szukać człowieka, który ją zamordował, prawda? Dlaczego?

– Bo tak.

– Wiesz, że nie lubię, kiedy się mnie okłamuje.

Lekko poczerwieniał. Gwałtownym ruchem skręcił kierownicę i właściwie nie zwalniając, zjechaliśmy na pobocze. Dopiero tam nacisnął hamulec. Tym razem pas bezpieczeństwa tak boleśnie wbił mi się w pierś, że na moment straciłem oddech. Czarny odwrócił się w moją stronę, a ciężarówki, które przed chwilą wyprzedziliśmy, minęły nas z hukiem.

– Pomogłem ci, kiedy o to prosiłeś. Teraz chcę, żebyś spłacił dług. Mogłem kazać ci zmiażdżyć kolana mojemu dłużnikowi albo splądrować dom chorej starowinki, której wnuk był na tyle lekkomyślny, że pożyczył ode mnie pieniądze, i na tyle głupi, że ich nie oddał. Mogłem kazać ci zrobić coś, po czym nie mógłbyś spojrzeć na siebie w lustrze. Ale pomyślałem, że nie. Że wykorzystam cię w taki sposób. Nie będę zmuszał cię do czegoś, czego potem będziesz się wstydził. Znajdę

ci jakąś porządną, uczciwą robotę. I znalazłem. Mam tego załować?

– Po prostu chcę znać wszystkie fakty.

– Fakty są takie, że ta dziewczyna jest dla mnie nikim.

– To dlaczego...

– Dość pytań – przerwał mi. – Masz wobec mnie dług do spłacenia. Lepiej zacznij się zastanawiać, jak to zrobić.

Po wyrazie jego twarzy zorientowałem się, że nic więcej z niego nie wyciągnę. Coś przede mną ukrywał. Mogłem mieć tylko nadzieję, że nie wpakuję się przez to w jeszcze większe kłopoty. Ale w jednym musiałem przyznać mu rację – mógł wymyślić znacznie paskudniejsze zadanie do wykonania.

Jeszcze przez chwilę siedzieliśmy w stojącym na poboczu aucie. Czarny czekał, aż coś dodam, i obserwował mijające nas samochody.

– Patrz na tego – rzucił nagle i wskazał na szybko oddalającego się od nas szarego golfa. – Pędzi jak szalenięc.

Kimkolwiek był kierowca tamtego wozu, nie jechał na pewno szybciej od Czarnego. Wolałem jednak tego nie mówić.

– Ruszajmy – powiedział.

Zerknął w lusterko, wrzucił kierunkowskaz i wskoczył na pas drogi ekspresowej. Tym razem jechał znacznie wolniej. Rzadko przekraczał sto czterdzieści kilometrów na godzinę, ale wcale nie poczułem się z tego powodu bezpieczniej. Siedział zamyślony, zastanawiając się nad czymś intensywnie, raz po raz marszczył brwi i nie byłem pewien, czy w ogóle rejestruje to, co dzieje się na drodze.

Po kilkudziesięciu kilometrach zjechaliśmy z ekspresówki, a potem poruszaliśmy się coraz węższymi i bardziej zanie-

dbanymi drogami. Najpierw przejeżdżaliśmy przez miasta, później miasteczka, aż wreszcie wsie. Wszędzie były lasy pełne sięgających do nieba sosen. Zupełnie jakbyśmy cofnęli się o sto, dwieście lat, szczególnie, że ostatni odcinek pokonaliśmy wybrukowaną drogą, na której tylko gdzieniegdzie pojawiały się plamy asfaltu. Wzdłuż rosły w równym rzędku wysokie liściaste drzewa. Naprawdę nietrudno było uwierzyć, że podstawowym środkiem transportu mieszkających tu ludzi jest furmanka.

Wreszcie dojechaliśmy do wsi o nazwie Wilki. Ciągnęła się wzdłuż głównej ulicy i rozrastała trochę na boki. Patrząc na nią z okien samochodu, widziałem same co najmniej stuletnie budynki. Większość, wykonana z czerwonej cegły lub muru pruskiego, wyglądała na solidną niemiecką robotę, a niemal przed każdym znajdowała się drewniana rzeźba. Wszystkie przedstawiały wilki. Niektóre po prostu stały, inne leżały, a jeszcze inne z nastroszoną sierścią na karku szykowały się do skoku, szczerząc wielkie kły. Kilka było pomalowanych, reszta z surowego drewna.

– Co to za miejsce?

– To tutaj zamordowano tę dziewczynę – powiedział Czarny.

Jechał teraz powoli, rozglądał się dookoła, patrząc na numery domów. Po chwili skręcił w boczną uliczkę, a potem na podwórko jednopiętrowego starego budynku z dachem z czerwonej dachówki, poszarzałej od dymu wokół komina. Przy domu stała drewniana ławeczka. W kącie dostrzegłem miejsce na ognisko, wiatę ze stołem i kilkoma złożonymi leżakami, a także zabawki dla dzieci.

– Jesteśmy na miejscu.

Wysiedliśmy z samochodu. Byłem ciekaw, czy i tutaj jest gdzieś jakiś wilk. Wreszcie go znalazłem. Stał zupełnie z tyłu, jakby schowany za rogami budynku. Musiałem przejść kilka kroków, żeby mu się przyjrzeć. Był wielki, wyrzeźbiony w jednym kawałku drewna, sięgał mi do pasa. Miał otwartą paszczę, jakby szykował się, żeby kogoś ugryźć.

– Panowie do pokoju? – Usłyszałem z boku.

Z domu wychodziła właśnie kobieta w brązowym znoszonym swetrze i spódnicy podobnego koloru. Miała siwe włosy i twarz tak zniszczoną, że właściwie trudno było powiedzieć, czy ma sześćdziesiąt, czy osiemdziesiąt lat.

– Tak. To ja do pani dzwoniłem – odezwał się Czarny.

Kiedy odwróciła się do niego, dosłownie ją zamurowało, a uśmiech zniknął z jej twarzy. Stała tylko z ustami zacisniętymi tak mocno, że przypominały linię. Jej skóra lekko poszarzała.

Czarny tymczasem obszedł samochód, otworzył bagażnik, wyjął swoją walizkę i rozłożył rączkę. Kółka zachrzęściły, uderzając o kamienie na podwórku. Ja zarzuciłem na ramię sportową torbę ze swoimi ciuchami.

– Dostaniemy klucze? – zapytał, podchodząc do kobiety.

– Klucze?

– Od pokoju.

Stał blisko niej i zupełnie nie zwracał uwagi na to, że wbija w niego wzrok, jakby był jakimś cyrkowym dziwadłem. Nagle jej ręka, jakby niezależnie od reszty ciała, zanurkowała pod sweter i zaczęła grzebać w ukrytej tam nerce, aż wyłoniła się ze srebrnym kluczykiem z dopiętym drewnianym brelokiem.

– Dzięki – powiedział Czarny, odbierając go od niej, po czym zniknął wewnątrz budynku.

– Nie chce pani, żebyśmy się gdzieś wpisali? – zapytałam kobiety, która wciąż nie ruszyła się z miejsca. – Do jakiejś księgi gości lub czegoś takiego?

Potrząsnęła głową.

– Nie trzeba – powiedziała. – Mam przeczucie, że nie zostanieie tutaj długo.

Pokój znajdował się na pierwszym piętrze. Stały w nim dwa łóżka, na których ułożono świeżą pościel w kwiaty, oprócz tego szafa, krzesła i stolik z dwiema szklankami. Ściany były białe. Ozdabiały je dwa obrazy – pejzaże przedstawiające jezioro, kilka drzew i łódki z wędkarzami. W pokoju unosił się nieprzyjemny zapach kojarzący się z wonią kulki na mole. Kto wie, może zresztą wciąż kilka z nich znajdowało się w szafie.

Czarny rzucił walizkę na łóżko. Ściągnął kurtkę i położył ją obok, a potem otworzył szeroko okno, żeby wpuścić trochę świeżego powietrza.

– No to jesteście – powiedział ponuro.

Drugie posłanie należało więc do mnie. Umieściłem na nim swoją torbę i zacząłem kręcić głową to w jedną, to w drugą stronę. Od długiej jazdy samochodem bolały mnie kark, plecy i mięśnie. Zrobiłem dwadzieścia przysiadów, po czym wziąłem się za pompki.

– Popisujesz się – mruknął Czarny.

W międzyczasie zdążył wyjąć z walizki kosmetyczkę i długi ręcznik. Zdjął koszulkę, spodnie. Był dobrze zbudowany, umięśniony, ale nieprzesadnie. Jego tors był zupełnie gładki.

Musiał go regularnie golić. Na boku dostrzegłem brzydką długą bliznę, która ciągnęła się w dół od żeber. Wyglądała jak ślad po cięciu nożem.

– Znajdę łazienkę, wysram się i wezmę prysznic – rzucił, wychodząc z pokoju.

Zostałem sam. Podszedłem do okna i wyjrzałem na zewnątrz. Mieliśmy widok na podwórze i nasz samochód. Właścicielka pensjonatu wciąż stała tam, gdzie ją zostawiliśmy. Rozmawiała z kimś przez telefon. W pewnym momencie podniosła głowę, a gdy nasze spojrzenia się spotkały, zaczerwieniła się, spłoszona. Przycisnęła mocniej telefon do policzka i schowała się przede mną.

Usiadłem na łóżku, zastanawiając się, w jaką awanturę właśnie się wplątuję. Zacząłem żałować, że mam starą nokię zamiast nowego telefonu z dostępem do internetu. Chętnie dowiedziałbym się czegoś o tej zamordowanej dziewczynie. Czarny nie powiedział mi wszystkiego. Na razie jednak byłem skazany na jego dobrą wolę – niezbyt wesoła perspektywa.

Gangster wrócił do pokoju po około piętnastu minutach. W jego włosach lśniły jeszcze kropelki wody. Rzucił ręcznikiem i przemaszerował przez pokój nagi, zupełnie nie przejmując się moją obecnością. Ubrał się, potem przyjrzał się sobie w lustrze i poprawił fryzurę.

– Zdycham z głodu – oznajmił. – Chodźmy coś zjeść.

– Nie dostaniemy kolacji?

– Od tej starej raszpli? Tylko spanie, przyjacielu. I tak jestem zaskoczony, że przygotowała nam świeżą pościel, a w łazience jest ciepła woda.

– Dziwnie na ciebie patrzyła. Znasz ją?

Uśmiechnął się krzywo.

– Nie – powiedział i wskazał palcem na swoją twarz. – Po prostu zobaczyła Cygana i sądzi, że nie marzę o niczym innym tylko o tym, żeby ukraść jej te stare prześcieradła.

Włożył kurtkę, pogrzebał w walizce i wyjął z niej nóż sprężynowy. Wsadził go do kieszeni.

– Idziemy? – zapytał.

Przytaknąłem. Kiedy opuściliśmy pokój, zamknąłem drzwi na klucz i zeszliśmy po schodach. Dom był urządzony w ten sposób, że na piętrze znajdowały się pomieszczenia dla gości, a na parterze mieszkała gospodyni. Z głębi dobiegały odgłosy włączonego telewizora, nigdzie jednak nie widzieliśmy właścicielki.

Poszliśmy w stronę głównej ulicy. Przez chwilę wydawało mi się, że wilki z sąsiednich podwórek śledzą nas wzrokiem. Pomyślałem, że będę potrzebować trochę czasu, by przyzwyczaić się do obecności tych dziwnych drewnianych rzeźb.

Miasteczko wyglądało na wymarłe. O tym, że mieszkali w nim ludzie, świadczyły tylko światła w domach i zaparkowane na podwórkach samochody. Wieczór przyniósł ze sobą przyjemny chłód, co stanowiło miłą odmianę, bo wrzesień był do tej pory bardzo ciepły, wręcz upalny. Zatrzymaliśmy się na zakręcie i zaczęliśmy się rozglądać. Nie przejeżdżał żaden samochód. Widzieliśmy jedynie psa pospiesznie przemykającego pod płotem, z nosem przy ziemi. Z dźwięków dochodziły tylko skrzeki przelatujących nad naszymi głowami wodnych ptaków.

Zabiłem komara, który usiadł mi na szyi.

– Tam jest chyba knajpa. Wydaje mi się, że widziałem ją, jak tędy przejeżdżaliśmy – powiedział Czarny.

– Myślisz, że będzie otwarta?

– Musi być – stwierdził. – Jestem tak głodny, że jeśli jest zamknięta, to chyba pójdę do jeziora i gołymi rękami złapię jakąś rybę. Zjem ją na surowo jak ten potwór z *Władcy Pierścieni*. Mniam, mniam, mniam. Widziałeś to?

– Czytałem książkę – odpowiedziałem.

Nie było jednak potrzeby, żeby Czarny zabawiał się w Golluma. Po krótkim spacerze dotarliśmy do domu ozdobionego podświetlonym logo jednego z browarów. Było tak stare, że większość liter już się zatarła. Na zewnątrz stały dwie drewniane ławy schowane pod parasolem z napisem COCA-COLA.

Weszliśmy do środka.

Są takie miejsca, gdzie natychmiast wiesz, że nie jesteś mile widziany, i do nich należała właśnie ta knajpa. Od momentu, kiedy przekroczyliśmy próg i zadzwonił zawieszony nad framugą dzwonek, czułem, że coś jest nie tak. Spojrzenia wszystkich skierowały się w naszą stronę. Po mnie się przeslizgnęły z pewnym zainteresowaniem, może zdziwieniem u jednej lub dwóch osób, bo przecież byłem kimś nowym, ale generalnie nie budziłem sensacji. W przypadku Czarnego wyglądało to inaczej. Zmarszczone brwi, rzucone szeptem gdzieś w kącie przekleństwo, stężałe twarze i wrogie spojrzenia świadczyły o tym, że najchętniej natychmiast by go stąd wyrzucono. A ponieważ przyszedłem z nim, mój status również się zmienił. Na gorszy.

Czarny wydawał się jednak tego nie zauważać. Po prostu podszedł do baru i oparł się o ladę. Stojący nieopodal pracujący tam dwudziestokilkulatek w niebieskiej koszulce polo w białe paski, ze sporą nadwagą i naželowanymi włosami, nie zauwa-

żył Roma. Pochłonięty swoim telefonem, kreślił po nim palcem z góry na dół.

Wystrój knajpy zapewne nie zmienił się od dwudziestu, może nawet trzydziestu lat. Wszystko było drewniane i pokryte grubą warstwą lakieru. Ściany zdobiły boazeria, wędkarskie trofea i kilka wypreparowanych szczupaczych łbów. Jedyny nowy sprzęt, płaski telewizor, straszyl ciemną plamą ekranu. Brakowało tylko plakatów z gołymi babami z jakiegoś niemieckiego pisemka.

Gości było łącznie dziesięciu. Sami mężczyźni. Czterech siedziało przy jednym stoliku. Mieli po około czterdzieści lat i pili piwo. Jeden z nich, najszczuplejszy, o wydatnym nosie i pociągłej twarzy, która upodobniała go trochę do konia, zaciskał mocno dłoń na blacie, wbijając wzrok w Czarnego. Powiedział coś, czego nie usłyszałem, dojrzałem tylko przez moment jego poźółkłe zęby. Kumple, wszyscy z brzuchami, spracowanymi dłońmi i pełnymi kufłami, zgodzili się z nim w milczeniu.

Kolejnych trzech siedziało bliżej telewizora. Młodszy, mogli mieć od dwudziestu do, góra, trzydziestu lat. Wszyscy w bluzach z kapturami i dresowych spodniach. Każdy z nich szeroko rozłożył nogi. Głupia samcza rywalizacja – sposób, żeby zaznaczyć, jak bardzo jest się ważnym. Oni również zauważyli nasze wejście i nie pałali do nas sympatią. To był jednak inny rodzaj niechęci, mniej zajadły. Wynikający bardziej ze znudzenia i potrzeby znalezienia jakiejś rozrywki w ten monotony wieczór.

Trzeci stolik zajmowało dwóch siwowłosych mężczyzn. Pili piwo i pochylali się nad szachownicą. Zerkali na nas, ale

udawali, że całkowicie pochłania ich gra. W kącie siedział ostatni gość. Samotny mężczyzna z książką, która teraz leżała na blacie. Był łyсы, dobrze zbudowany, a jego szczękę pokrywał siwy zarost. Ten człowiek wzbudził mój niepokój. Czułem, że ocenia mnie tak, jak ja teraz oceniałem jego. Jako potencjalnego przeciwnika.

Tymi czterema od końskiej twarzy nie przejmowałem się specjalnie. Sądziłem, że będą tylko przeklinać i narzekać. Może wymienią się kilkoma przechwałkami, co to nie oni, ale wątpiłem, żeby zdecydowali się na jakikolwiek wrogi gest wobec nas. To dorośli faceci z rodzinami i obowiązkami, nie mają czasu ani specjalnej ochoty na bójki w barze. Poza tym, nawet jeśli by do czegoś doszło, prawdopodobnie szybko by się skończyło. Wystarczyłoby tylko porządnie przywalić pierwszemu, żeby reszta grzecznie wróciła na swoje miejsca. Porządni ojcowie rodziny naprawdę nie chcą się pojawić w domu z podbitym okiem albo brać wolnego w pracy ze względu na złamaną rękę.

Trzech młodszych było zagadką. W ogóle z dwudziestolatkami to nigdy nie wiadomo. Kwestia biologii – inaczej szacują ryzyko, nie do końca potrafią ocenić zagrożenie i konsekwencje. Nie dlatego, że są głupi, po prostu ich mózgi jeszcze nie w pełni się ukształtowały. To dlatego przestępczość jest zawsze najwyższa w tej grupie wiekowej. Potem człowiek się uspokaja, czy tego chce czy nie. Tamci trzej nie wyglądali na specjalnie wojowniczych, ale to mogło zmienić się w okamgnieniu. Wystarczył jeden głupi pomysł, myśl albo niepotrzebna odzywka. Na szczęście w knajpie nie było żadnej dziewczyny, nie musieli więc nikomu nic udowadniać. Jeśli będziemy ich omijać szerokim łukiem i niczym nie sprowokujemy, powinien być spokój.

Dwóch starsuszków ciągle udawało, że zajmują się szachami. Gdyby coś się wydarzyło, zapewne szybko pozbialiby figury i z szachownicą pod pachą wymknęliby się na zewnątrz. Zostawał więc ten łysy. Nie wiedziałem, co o nim myśleć. Nie dawał żadnych sygnałów sugerujących, że chce sprowokować awanturę, ale ze wszystkich mężczyzn on wydawał się w najlepszej formie. Było też coś w wyrazie jego twarzy, pewne zdecydowanie cechujące człowieka, który wiele razy znajdował się w niebezpieczeństwie i wie, jak się obronić.

No i pozostawała jeszcze ostatnia niewiadoma. Cholerny Czarny. Nie podobało mi się, że wziął ze sobą nóż sprężynowy. Tego jeszcze brakowało, żeby już na początku naszego śledztwa pociął komuś z miejscowych twarz. Nie znałem go za dobrze. Śledziłem kiedyś na zlecenie pewnego biznesmena, któremu nie pasowało, że Rom sypia z jego córką, i wyglądał wtedy na spokojnego oraz opanowanego, kogoś, kto ma przemyślany każdy ruch. Tyle że wówczas był u siebie i w pełni kontrolował sytuację. Teraz, na obcym terenie, zachowywał się nerwowo i maskował to arogancją, co stanowiło zaproszenie dla kłopotów.

Jakby na potwierdzenie moich słów Czarny wyjął z uchwytu serwetkę, zwinął ją w kulkę i rzucił nią w barmana. Trafił idealnie w głowę. Chłopak aż podskoczył ze zdziwienia, a telefon wyślizgnął mu się z dłoni i poleciał na ziemię.

– Co jest? – powiedział i dopiero teraz zauważył Czarnego. Zamrugał dwa razy, jakby sądził, że coś mu się przywidziało.

– Chcieliśmy zamówić coś do jedzenia – włączyłem się szybko, obawiając się tego tekstu, który już miał w ustach Czarny.

– Kuchnia jest zamknięta – wymamrotał barman, schylając się po telefon. Podniósł go i dokładnie obejrzał ekran, sprawdzając, czy nie pękł.

– Na pewno da się otworzyć – rzucił Czarny.

– No raczej nie.

Rom westchnął teatralnie. Okręcił się, rozkładając szeroko ręce, jakby pokazywał niewidzialnej publiczności, w jak godnej pozałowania sytuacji się znalazł. Potem wyjął z kieszeni portfel, a z niego banknot dwustuzłotowy i podsunął go w stronę barmana tak, by ten mógł dojrzeć w środku cały plik takich papierków.

– Może jednak da się coś wymyślić?

Chłopak oblizał wargi, potem wziął banknot. Złożył go na pół i wsadził do kieszeni koszulki.

– Zaraz sprawdzę, co mogę podać – powiedział i ruszył w stronę wejścia do kuchni.

– Czeka! – krzyknął za nim Czarny. – Najpierw należy nam piwo.

– Dla mnie woda – powiedziałem.

Barman uniósł jedną brew. Nalał mu kufel piwa, a mnie podał butelkę wody mineralnej.

Poszliśmy do jednego z wolnych stolików. Usiadłem przy ścianie, tak żeby mieć widok na całą salę. Czarny zajął miejsce plecami do reszty gości. Wyczuwałem w tym prowokację. Jakby chciał w ten sposób pokazać, że wcale się ich nie boi.

– Nie pijesz? – zapytał, wskazując na moją wodę.

– Unikam – przyznałem, odkręcając butelkę.

– Kto nie pije, ten kapuje – zauważył.

Wzruszyłem ramionami. Nie miałem zamiaru reagować na jego zaczepki.

– Ciekawe, skąd ma te pieniądze – powiedział ktoś bardzo głośno i zdecydowanie w naszym kierunku.

Końska twarz. Zaskoczył mnie. Nie spodziewałem się, że będzie szukać zaczepki, a już na pewno nie tak szybko. Jakby spieszył się, bo obiecał żonie, że za piętnaście minut wróci do domu.

Czarny nie zareagował. Siedział, przypatrując się swojemu kufłowi i bąbelkom gazu, które wypływały na powierzchnię.

– Pewnie je ukradł! – powiedział jeszcze głośniej końska twarz.

Tym razem Czarny się obrócił. Spojrzał na mężczyznę po drugiej stronie sali.

– Do mnie mówiłeś? – rzucił.

– Nie! – odpowiedział mu końska twarz.

– To dobrze.

– Mówiłem do moich kumpli, że pewnie ukradłeś te dwie stówki. A my tutaj nie lubimy złodziei.

Czarny poderwał się z miejsca.

– Jak mnie nazwałeś?!

Końska twarz wstał od stolika i wyszedł na środek sali.

– Nazwałem cię, kurwa, złodziejem, a my tutaj nie lubimy złodziei. Dlatego spierdalaj stąd, złodzieju.

– Bo co mi zrobisz?

– Bo ci wpierdołę.

Czarny roześmiał się głośno.

– Taka mała pizdeczka miała by mi wpierdolić?! – powiedział z udawanym zdziwieniem. – Wróć lepiej do obciążania futów swoim koleżkom.

Skrzywiłem się. Czarny popełnił błąd. Towarzysze końskiej twarzy do tej pory tylko przysłuchiwali się tej wymianie zdań. Jasne, trzymali stronę kumpla, ale nie wyglądało na to, żeby zamierzali się przyłączyć do zabawy. Gangster jednak sam ich w nią wciągnął. Teraz niechętnie, bo niechętnie, ale jednak podnieśli się z miejsc. Zerknąłem szybko w stronę młodych. Przyglądali się całej sytuacji. Obawiałem się, że jeśli dojdzie do eskalacji, przyłączą się do bijatyki. Gdybyśmy mieli przeciwko sobie tylko tych czterech, powinniśmy sobie poradzić. Jeśli będzie ich siedmiu, do tego atakujących nas z dwóch stron, zostanie nam tylko ucieczka. Wątpiłem jednak, żeby taka ewentualność pojawiła się w głowie Czarnego.

Pierwszy dzień, pomyślałem ze złością. Nawet nie zdążyłem się rozpakować.

W tym momencie wstał łysy, podszedł do końskiej twarzy i klepnął go po plecach.

– Piwo ci się wygazuje, Koniu – rzucił.

Nazwał go Koniu. Czyli nie tylko ja miałem zoologiczne skojarzenia związane z jego fizjonomią.

Łysy minął czterech kolesi, którzy po chwili wahania wrócili na miejsca, wziął jedno z krzeseł, postawił je przy naszym stoliku i usiadł. Podrapał się po szczęce. Spojrzał na mnie, spojrzał na Czarnego.

– Powiesz swojemu kumplowi, żeby posadził tyłek? – zwrócił się do mnie.

– Czarny – poprosiłem.

Rom zmiął w ustach przekleństwo i usiadł.

– Po co tutaj przyjechaliście? – zapytał łysy.

– Na urlop – odpowiedział Czarny.

– Nie ma sezonu.
– Ledwo się skończył.
– Miesiąc temu.
– Czyli uniknęliśmy tłumów.
– I tak ich tutaj nie było. Dlaczego przyjechaliście właśnie do Wilków?

- Słyszeliśmy, że jest tu ładnie.
- Ktoś was okłamał. Mamy tu tylko syf i brud.
- Odniosłem inne wrażenie.
- Myłne.
- Jeszcze nie zobaczyliśmy jeziora.
- Nie ma czego oglądać.

Barman wyłonił się z kuchni i żwawo szedł w stronę naszego stolika z dwoma talerzami. Z każdym krokiem jednak zwalniał. Czuł, że coś się stało, ale nie wiedział co. Wreszcie postawił przed nami talerze. Na każdym było trochę frytek, jakaś odgrzewana ryba w panierce i kupka surówki z kiszzonej kapusty prosto z plastikowego wiaderka o pojemności pięć kilo. Chrząknął, jakby spodziewał się pochwały czy zwykłego „dziękuję”, ale doczekał się jedynie twardego spojrzenia łysego. Spłoszony chłopak szybko wrócił za bar.

– Rozumiem, że jesteście głodni – odezwał się mężczyzna.
– I szanuję to, że za ten skromny posiłek zapłaciliście zdecydowanie za dużo. Niemniej, skoro już ustaliliśmy, że to kiepskie miejsce na spędzenie urlopu, chciałbym, żebyście zjedli i stąd zniknęli.

– Mogę siedzieć w tym barze. Nikomu nie robię nic złego
– powiedział Czarny.

– Nie mówiłem o barze, ale o całym miasteczku. Macie stąd zniknąć.

– Mogę spędzać urlop tam, gdzie mi się podoba.

– Zgadza się. Ale tylko jeśli tym miejscem nie jest ta miejscina. Jasne? Zjadajcie i spieprzajcie.

– Nie masz prawa.

– Pewnie nie – zgodził się łysy i wzruszył ramionami. – Ale co zrobisz?

– Zadzwońię po policję?

Mężczyzna uniósł wysoko brwi i pokiwał głową, jakby ten pomysł wydał mu się naprawdę intrygujący.

– Ciekawe, co by zrobili? – rzucił.

– Sprawdźmy.

Nim zdążyłem zareagować, Czarny miał w dłoni telefon.

– Daj spokój – powiedziałem, ale Rom wybrał już numer.

– Halo? Chciałem zgłosić niebezpieczną sytuację w Wilkach w barze... Jak się nazywa ta buda?

– U Romana – odpowiedział mu szybko łysy.

– U Romana – ciągnął niezrażony Czarny. – Grupa mężczyzn mi grozi. Proszę przysłać patrol, bo inaczej może dojść do bijatyki i będę musiał się bronić... Tak, sprawa jest pilna.

Rozłączył się i odłożył komórkę. Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu, patrząc na siebie nawzajem, a po niecałej minucie rozdzwonił się telefon łysego. Mężczyzna, nie spuszczając z nas oka, odebrał.

– Tak? – powiedział, a potem przez chwilę słuchał. – U Romana? Dobra, nie ma problemu. Sprawdzę to. Pewnie nic poważnego. Naprawdę nie ma żadnego kłopotu. Dziękuję za informację.

Skończył rozmawiać. Powolnym ruchem schował telefon, a potem wyjął z kieszeni policyjną blachę. Położył ją na stoliku.

– Słyszałem, panowie, że jest jakiś problem – powiedział i spojrzał na nas pytająco.

Zobaczyłem, że Czarny cały się napina. Postanowiłem zareagować szybciej od niego.

– Żadnego – stwierdziłem. – Już stąd wychodzimy.

Klepnąłem Czarnego w ramię, dając mu do zrozumienia, że już na nas czas. Modliłem się w duchu, żeby mnie posłuchał. I miałem szczęście, bo Rom faktycznie wstał. Przez chwilę wydawało się, że chce coś jeszcze powiedzieć, ale ruszył do wyjścia. Ja za nim.

– Poczekać – zatrzymał nas łusy. – Wasze żarcie. Bartosz, zapakuj panom na wynos!

Barman, słysząc swoje imię, drgnął i pobiegł po nasze talerze, po drodze uderzając się biodrem o kant baru. Syknął, zaklął i zniknął w kuchni. Czarny tymczasem wyszedł z lokalu. Ja czekałem. Pomimo wszystko byłem głodny.

– To po co tu naprawdę przyjechaliście? – zapytał jeszcze raz łusy.

Zacząłem się zastanawiać nad odpowiedzią. W mojej głowie pojawił się pomysł, żeby powiedzieć mu prawdę. Miał on sporo minusów. Przede wszystkim odsłoniłbym się i ujawnił swoje zamiary, więc łusy mógłby mi przeszkodzić. Tyle że już i tak zwróciliśmy na siebie jego uwagę. Poza tym niby jak miałbym prowadzić tutaj jakiegokolwiek śledztwo – to mała społeczność, gdzie zapewne jedyną rozrywką jest plotkowanie, więc gdy tylko porozmawiam z jedną osobą, to wszyscy mieszkańcy będą wiedzieć, po co tu przyjechałem, a tak przynajmniej zo-

baczę jego reakcję. Do tego trochę zamieszam w tym mętym stawie i może dzięki temu wypłynie coś ciekawego. Tak, to na pewno nie była optymalna strategia śledcza, ale ja nie byłem żadnym detektywem. Postanowiłem posłuchać swojego instynktu.

– Żeby znaleźć człowieka, który zamordował Olę Michowską – powiedziałem.

Czekałem w napięciu. Spodziewałem się agresji, bo skoro policjant nie znalazł jej zabójcy, to sprawa mogła stanowić ujmę na jego honorze, albo strachu, jeśli facet miał cokolwiek wspólnego z samym zabójstwem. Ale on był szczerze zaskoczony.

– To przyjechaliście w złe miejsce, koledzy – powiedział.
– Człowiek, który zamordował Olę, siedzi teraz w areszcie śledczym i czeka na rozpoczęcie procesu.

Wyszedłem z knajpy z jedzeniem w foliowej torbie. Czarnego nie było. Rozejrzałem się, ale Rom zniknął. Wyjąłem komórkę, wybrałem jego numer, jednak telefon milczał. Spojrzałem na ekran swojej wysłużonej nokii – nie miałem zasięgu. Krążyłem po najbliższej okolicy tak długo, aż wreszcie pojawiła się kreska. Po raz kolejny zadzwoniłem do Czarnego.

Nie odbierał.

Przez chwilę zastanawiałem się nad możliwymi scenariuszami. Wątpiłem, żeby stało mu się coś złego. Wyszedł z knajpy tylko kilkadziesiąt sekund przede mną. Gdyby coś się działo, gdyby ktoś go zaatakował, raczej bym usłyszał. Pewnie sam postanowił się oddalić i najprawdopodobniej wrócił na kwatery.

Zrobiłem więc to samo. Szedłem powoli, nie spiesząc się przesadnie. Dwa razy przystanąłem i obejrzałem się za siebie, ale nikt mnie nie śledził. Na ulicach wciąż nikogo nie było. Nie jechał żaden samochód, zniknął nawet ten samotny pies i tylko ptaki ciągle się darły znad jeziora.

Wszedłem do domu, wdrapałem się na piętro i nacisnąłem klamkę, drzwi były jednak zamknięte. Nacisnąłem ją powtór-

nie, szarpnąłem raz w jedną, raz w drugą stronę, ale nie przyniosło to żadnych rezultatów.

Zdziwiłem się. Czyżbym dotarł do pokoju przed Czarnym? Po raz kolejny spróbowałem do niego zadzwonić – po raz kolejny bez rezultatu.

Zszedłem na dół i siadłem na ławce niedaleko wpatrzonego we mnie wilka. Wydawało mi się, że teraz jest w innym miejscu, jakby zrobił kilka kroków w moją stronę. Wyjąłem jedno z dań, rzuciłem mu kawałek ryby, żeby go przekabacić, i zjadłem kolację. Kiedy wytarłem palce w chusteczki i wszystkie śmieci wyrzuciłem do kosza, spojrzałem na zegarek. Czarnego wciąż nie było. W domu zgaszono już światła. Podejrzywałem, że nasza gospodyni poszła spać. Zaczynało się robić zimno, ale nie chciałem jej budzić.

Wstałem, zamachałem kilka razy ramionami i postanowiłem pospacerować. Ruszyłem z powrotem do głównej drogi, ale zamiast w stronę knajpy, poszedłem w drugą. Znalazłem tam sklep spożywczy, o tej porze już zamknięty, warsztat samochodowy i punkt, w którym można było wymienić butle z gazem. Doszedłem w ten sposób do końca miasteczka. Dalej rozciągał się las, skręciłem więc w bok. Wąskie ulice doprowadziły mnie wkrótce do miejskiej plaży. Tam znajdowały się kolejna knajpa zamknięta o tej porze roku, drewniany pomost oraz wypożyczalnia kajaków i rowerów wodnych, również nieczynna. Sama plaża ledwo zasługiwała na swoją nazwę – na końcu średniej wielkości polany znajdowała się łąka zapewne nawiezionego brudnego piasku.

Wszedłem na pomost. Lekko wilgotne deski cicho trzeszczały pod moimi stopami. Jezioro miało typowy dla jezior

w tym rejonie nieregularny kształt. Wiło się na wszystkie strony i pełno w nim było zatok i zatoczek. Miało niewielką powierzchnię, choć długość linii brzegowej musiała pewnie sprawiać wrażenie. Podejrzewałem, że jest dość głębokie. W najgłębszym miejscu mogło być nawet ponad dwadzieścia metrów.

Na drugim brzegu dostrzegłem liczne światła. W ciemności nie widziałem dobrze, ale znajdował się tam ośrodek wczasowy albo biwak. Najwyraźniej przyjmował gości, bo dochodziła stamtąd głośna muzyka – raczej ostre brzmienia, a nie pop. Nie potrafiłem jednak zrozumieć słów. Nie rozpoznawałem też języka, w którym śpiewał wokalista, choć nieco przypominał niemiecki.

Wyjąłem komórkę, żeby sprawdzić, czy Czarny do mnie oddzwonił. Nie oddzwonił. W dodatku tutaj również nie miałem zasięgu. Najwyraźniej była tu większa dzicz niż w Bieszczadach.

Przeciągnąłem się, kucnąłem i zamoczyłem palce w wodzie. Przez chwilę kusiło mnie, żeby się wykąpać, ale stwierdziłem, że jest za zimno.

Wróciłem na kwaterę. I tym razem nie spotkałem na ulicy nikogo – ani Czarnego, ani żadnego z mieszkańców, za to na piętrze, w naszym pokoju, paliło się światło.

Zastałem Roma siedzącego na łóżku i palącego, o czym świadczył charakterystyczny, słodkawy zapach skręta. Towar musiał być mocny, bo Czarny miał załzawione oczy, a to na pewno nie był jego pierwszy raz.

– Gdzie byłeś? – zapytałem.

– A ty?

– Spacerowałem.

– Ja też.

– I nie chcesz mi powiedzieć gdzie?

– Po okolicy – burknął.

Siwy dym unosił się na wysokości mojej twarzy. Rozgoniłem go ręką i otworzyłem okno.

– Okłamałeś mnie – rzuciłem.

– Kiedy?

– Kiedy? To było więcej niż raz?

– Możesz po prostu powiedzieć, o co chodzi.

– O to, że złapali zabójcę tej dziewczyny.

– On tego nie zrobił.

– Skąd wiesz?

Wzruszył ramionami. Jego zachowanie zaczynało mnie irytować.

– Kim jest ten facet?

– Który?

– Ten, który ją zabił.

– Jakiś facet.

– Znasz go?

– Nie – odpowiedział, ale na chwilę się zawahał. Jakby było coś, co chciał mi powiedzieć, jednak w ostatnim momencie zmienił zdanie.

– Sprowadzasz mnie tutaj, żebym znalazł mordercę dziewczyny, której nigdy nie spotkałeś, bo facet, który został za to aresztowany i którego też nie znasz, na pewno jest niewinny. Dlaczego tu w ogóle jesteśmy, Czarny?

Zaciągnął się mocno skrętem, wypuścił dym z płuc, a potem spojrział na mnie poważnie swoimi wielkimi czarnymi

oczami. To musiało świetnie działać na dziewczyny, na mnie jednak nie zrobiło wielkiego wrażenia.

– Bo każdy z nas ma swoje długi do spłacenia – oznajmił, po czym wyciągnął w moją stronę trawkę, jakby proponował mi fajkę pokoju.

Odmówiłem, kręcąc głową. Każdy z nas ma swoje długi do spłacenia – to akurat była prawda. Ja lubiłem spłacać swoje, ale nie wtedy, kiedy tyle się przede mną ukrywa.

Czarny podniósł się, podszedł do swojej walizki i wyjął z niej pękata teczkę. Rzucił ją na moje łóżko.

– Masz – powiedział.

– Co to takiego?

– Wszystko, co udało mi się zebrać o tej sprawie. Kim była ta dziewczyna, gdzie ją znaleziono, kim był facet, co ją niby zabił, i tak dalej.

Zajrzałem do teczki – sporo dokumentów i zdjęć. Wyglądały na kopie materiałów ze śledztwa. Ciekawe, jak Czarny je zdobył.

– Jeśli mam się tym zająć – odezwałem się po chwili – to sam.

– Co takiego?

– Masz stąd wyjechać, Czarny.

– Bo?

– Z dwóch powodów. Po pierwsze, miejscowi cię nie lubią. Najwyraźniej ich prowokujesz. Już i tak sporo tutaj zamieszam, nie potrzebuję kolejnych kłopotów, które może spowodować twoja obecność.

Rozważał moje słowa. Spodziewałem się protestów, ale ku mojemu zaskoczeniu skinął głową, przyznając mi rację.

– A drugi powód? – zapytał.

– Nie ufam ci, Czarny. Coś przede mną ukrywasz i dowiem się co. A wtedy lepiej, zapewne dla nas obu, żeby cię tu nie było.

Wyszczerzył zęby w drapieżnym uśmiechu.

– I jak będzie, Czarny?

– To są twoje warunki?

– Tak.

– No to pozwól, że się trochę nad nimi zastanowię.

Nie skomentowałem. Szkoda mi było czasu na rozmowę z upalonym Romem. Rozebrałem się, poszedłem umyć zęby i położyłem się spać.

Kiedy rano wstałem, Czarnego już nie było. Na stoliku leżały klucze do pokoju, a pod nimi kartka z jednym słowem: „Powodzenia”.

Malina Błoniarz lubiła wcześniej wstawać. Zarówno zimą, kiedy na zewnątrz był mróz, a od jeziora biła nieprzyjemna wilgoć, jak i latem, kiedy jeszcze utrzymywał się nocny chłodek, a powietrze było rześkie i orzeźwiające. Zawsze po prostu miała coś do roboty, czy to w obejściu, czy w sołectwie.

Teraz obudziła się o wpół do piątej, zrobiła sobie coś do jedzenia i wypila kakao, bo kawy nie lubiła. Ubrała się w spódnice, gumki, wełniany sweter i założyła chustkę na głowę. Przed wyjściem przejrzała się w lustrze. Pomyślała, że wygląda jak swoja matka nieboszczka i babka, też zresztą nieboszczka. Ogorzała twarz pokryta zmarszczkami, przetłuszczone kosmyki siwych włosów wystające spod chustki, stare, brudne ubrania, spracowane dłonie, ramiona umięśnione jak u chłopca. Kiedyś patrzyła na mamusię i obiecywała sobie, że nigdy się do niej nie upodobni. Wyjedzie stąd najszybciej, jak się da, do dużego miasta, Gorzowa albo Zielonej Góry, będzie studiować, malować się, używać szminki i dezodorantu, będzie wiecznie zgrabna, powabna i dziewczęca. Życie potoczyło się jednak inaczej. A teraz, kiedy patrzyła na siebie w lustrze, pomyślała, że się sobie podoba. Lubiła swój wygląd. To był wygląd

kobiety, która jest silna, coś przeżyła i coś osiągnęła, a szminki i dezodorantu i tak używała. Potrafiła się przecież ubrać, tak żeby wyglądać elegancko. No ale do świń nie pójdzie w butach na obcasie.

Wyszła na dwór. Szarika zostawiła w domu. Spał jeszcze, zwinięty na swoim posłaniu. Nawet nie podniósł głowy, kiedy przechodziła. Żal jej było go budzić. Zajęła się zwierzakami. Nakarmiła krowę, dwie świnię i kury. Właściwie nie wiedziała, po co jeszcze je trzyma. Kiedyś było ich dużo więcej, jak u wszystkich zresztą. Wtedy ludzie żyli albo z lasu, albo z roli. Teraz to się zmieniło. Las ciągle karmił, ale rolę już mało kto chciał uprawiać. Ludzie jeździli do pracy do Świebodzina, Sulechowa, Zielonej Góry, a nawet do Niemiec. Daleko przecież nie mieli. Zresztą ludzi też było mniej niż kiedyś. Młodzi woleli urządzać się tam, gdzie ich wywiało.

Trudno, pomyślała, niech żałują.

Ona lubiła Wilki. Inni mogli narzekać, że nie wykorzystują w pełni swojego potencjału, że mogliby tu ściągnąć turystów, zrobić jakąś stanicę żeglarską, szlaki rowerowe, ale po co to komu. Już i tak mieli kłopoty z tymi, którzy tutaj przyjeżdżali. Niewielu ich, a hałaśliwi, tylko by pili i jebali się po krzakach. Ona wołała tak jak teraz – mało turystów, a więc przez większość roku cisza i dlatego właśnie ci profesorstwo z Warszawy wykupili tutaj dację. Początkowo kręciła na to nosem, ale jak przyjeżdżali czasem na weekendy i święta, byli uprzejmi, siedzieli u siebie i bawili się w swoim gronie. Zaakceptowała ich, chociaż niechętnie.

Nie chciała tu nic zmieniać. Raz się złamała. Żałowała teraz, ale rodzinie trzeba pomagać.

Skończyła sprzątać w obejściu. Dołała jeszcze zwierzakom wody i zastanawiała się, co powinna z nimi zrobić. Kury dawały jaja, a te starsze szły na rosół. Chciała je zatrzymać. W końcu mało z nimi było roboty, ale krowa? Mleka już nie dawała, bo stara, poza tym Malina i tak kupowała w kartonie. Ze świniami jeszcze gorzej. Obie maciory już dawno wieprza nie widziały. Ech, powinna je zarznąć, ale co ona by zrobiła z tym całym mięsem. Poza tym, głupia sprawa i aż samej jej było wstyd, przywiązała się do nich. Matka z babką by ją wyśmiały.

– Stara jestem i głupia – powiedziała do siebie.

Poczekala, aż krowa skończy pić, i wzięła ją na postronek.

– Chodź, mućka, pójdziesz na pastwisko.

Wyprowadziła ją z zagrody i wtedy zobaczyła przy płocie zaparkowane srebrne subaru forester. Obok, podpierając się pod boki, stał Paweł Kotwica. Ciągnąc zwierzę, ruszyła w jego stronę.

– Co tam, panie posterunkowy? – zagadnęła.

Kotwica na jej widok mimowolnie się wyprostował, a ona lekko się uśmiechnęła. Nawet kiedy Paweł był młody, jeszcze miał na głowie pełno włosów i łobuzował, to się jej bał. Potrafiła wzbudzić respekt i dlatego od lat wybierali ją na sołtysa. Wiedziała, że w całej wsi nikt inny nie cieszy się takim posłuchem wśród ludzi. A ona się odwdzięczała, dbając o interesy Wilków.

– Pojechał – odpowiedział.

– No to dobrze – stwierdziła z ulgą, a potem zmarszczyła brwi. – Pojechał. Jeden?

– Tak, tylko jeden. Widziałem, jak się pakuje do bmw i wyjeżdża. Raczej nie wróci.

- Który to był?
- Cygan.
- A ten drugi?
- Wygląda na to, że został.

Malina skrzywiła się. Poluzowała trochę trzymany w dłoni postronek, żeby krowa mogła pochylić łeb i wyrwać kilka kępek trawy.

- Kto to jest? – zapytała.
- Nie wiem.
- Trzeba ich było wczoraj wylegitymować. Obu.
- Trzeba było – zgodził się z nią. – Zrobię to przy najbliższej okazji.

– Kim oni są? – zapytała. – Policjantami?

Uśmiechnął się.

– Słyszałem o czarnym policjancie, słyszałem o kilku Wietnamczykach na służbie, ale o Cyganie? Nigdy.

– To kto? Dziennikarze?

Westchnął i podrapał się po łysinie.

– Może – mruknął.

Malina zorientowała się, że krowa wyrwała całą kępkę trawy wraz z korzeniami z zadbanego trawnika i teraz w tym miejscu ziała brzydka dziura. Szarpnęła postronkiem. Zwierzę spojrzało na nią z urazą.

- Czego by tutaj szukali?
- Mówił, że mordercy Oli.
- Przecież on siedzi.
- Właśnie.

Pokręciła gniewnie głową.

– Nie ma mowy. Nie dlatego tutaj są. Nie z tym Romem. Oni przyjechali z zupełnie innego powodu. W czym innym chcą grzebać. I ty, Kotwica, wiesz w czym.

Jego twarz stężała, jakby nagle ktoś machnął mu siekierą przed nosem podczas ścinki. Oczy uciekły gdzieś w bok, a usta niemo wypowiedziały przekleństwo.

– Nikt im nic nie powie – stwierdził nieprzyjemnym, charczącym głosem. – Nie po tylu latach.

– Ludziom różne głupie pomysły przychodzą do głowy po takim czasie. Niektórzy mają wyrzuty sumienia. Jesteś pewien, że nikt nic nie palnie?

– Ja jestem. A ty?

– Co to ma znaczyć?

– Aśka.

Zachmurzyła się. Nie lubiła, kiedy przypomniano jej o istnieniu tej dziewczyny.

– Do tej pory milczała.

– Sama mówiłaś, że po tylu latach ludzie mają głupie pomysły, a ona... Zresztą wiesz najlepiej, jaka jest.

Nie lubiła także, kiedy wykorzystywano jej własne słowa przeciwko niej. Pomyślała, że ten Kotwica robi się za cwany.

– Jeśli będzie trzeba, porozmawiam z nią. Przypomnę, że to od niej wszystko się zaczęło.

Skinął głową. Miała wrażenie, że ta rozmowa sporo go kosztowała. Ją zresztą również. Wilki to była miła, spokojna wieś. Nie potrzebowali, żeby ktoś zaczął grzebać w ich śmieciach. Poza tym co się stało, to się nie odstanie. Można tylko ludziom krzywdę zrobić.

Kotwica ruszył do samochodu. Otworzył drzwi, kiedy coś przyszło jej do głowy.

– Paweł! – krzyknęła.

Zatrzymał się i spojrzał na nią pytająco.

– Co do Oli. Jesteś pewien, że to on ją zabił?

– Na sto procent – powiedział, po czym wsiadł do subaru i odjechał.

Malina zaprowadziła wreszcie zniecierpliwioną krowę na pastwisko. Czuła, że na tym sprawa się nie skończy. Czekwały na nich kłopoty. Zaczęła się zastanawiać, jak może im zapobiec.

Przez chwilę trzymałem kartkę od Czarnego w dłoniach i wpatrywałem się w duże, nakreślone pospiesznie litery. Cieszyłem się z jego wyjazdu, sam go przecież do niego namawiałem, ale nie odpowiedział na moje pytania. Wciąż nie wiedziałem, dlaczego mnie tu sprowadził. Cała ta historia śmierdziała. Czułem, że to jedna z tych, od których dobrze jest trzymać się z daleka.

Ale długi trzeba spłacać.

Przejrzałem materiały. Ofiara, Aleksandra Michowska, siedemnaście lat, uczennica liceum. Stopnie miała dobre, ale nie rewelacyjne. Śpiewała w szkolnym chórze, z którym wygrała nawet kilka konkursów. Jej ulubione przedmioty: muzyka, historia i język polski. Żadnych problemów z prawem. Lubiana przez kolegów i koleżanki, chociaż z powodu zamieszkania w Wilkach nie brała specjalnego udziału w życiu towarzyskim klasy.

Zabójca, Bogdan Traszka, ponad czterdzieści lat, mieszkawiec Wilków. Nie miał stałego miejsca pracy ani rodziny. Prawdopodobnie alkoholik. Kilkakrotnie zaczepiał Aleksandrę Michowską, rzucał nieprzyjemne zdania o podtekście seksual-

nym. Gwałtownik. Kilkakrotnie wdawał się w bójkę. Miał wyroki w zawieszeniu. Matka zmarła kilka lat wcześniej, od tego czasu mieszkał sam.

Aleksandrę znaleziono na jego łodzi. Ciało zostało częściowo spalone. Brak alibi na noc morderstwa. Traszka twierdził, że spędził ją w domu i oglądał telewizję, nie potrafił sobie jednak przypomnieć co, a w czasie czynności sprawdzających wyszło na jaw, że nie ma telewizora. W jego domu znaleziono fragment odzieży należącej do dziewczyny, ale dopiero za drugim razem – według akt był ukryty w piwnicy domu, w hałdzie węgla.

Aleksandra wyszła wieczorem, nie mówiła matce, dokąd idzie. Chciała się przejść, wzięła telefon komórkowy. Śledczy stwierdzili, że w lesie spotkała Traszkę. Ten wykorzystał sytuację lub próbował skłonić dziewczynę do seksu. Kiedy mu odmówiła, pobił ją ze skutkiem śmiertelnym. Przestraszony, włożył ciało na swoją łódź, oblał je benzyną i wypchnął łódkę na jezioro w nadziei, że zatoni. Nic takiego jednak się nie stało. Benzyna się wypaliła i następnego dnia miejscowi wędkarze zauważyli łódź w zatoczce.

Traszka został aresztowany, postawiono mu zarzut zabójstwa. Mężczyzna nie przyznał się do winy. Nie współpracował z prokuraturą ani z adwokatem. Podobno głównie milczał.

Odłożyłem teczkę z dokumentami na stolik. Powinienem teraz przygotować jakiś plan działania, ale nie miałem pojęcia, jak się do tego zabrać. Uznałem, że lepiej więc przewietrzyć głowę.

Opuściłem kwaterę. Znowu nie dostrzegłem nigdzie naszej gospodyni. Drzwi do jej pokoiów były zamknięte, ze środka nie dochodziły żadne odgłosy.

Nie lubiłem marnować czasu. Zamiast znowu szwendać się po wiosce, postanowiłem zobaczyć miejsce, gdzie odnaleziono ciało Aleksandry. Nie dlatego, że spodziewałem się natrafić na jakiegokolwiek ślady – policyjni śledczy na pewno starannie sprawdzili teren, po prostu na własne oczy chciałem przekonać się, jak tam jest.

Najpierw musiałem przejść przez całą wieś, a potem zagłębić się w las. Myślałem o aktach – pozornie wszystko do siebie pasowało, ale kilka rzeczy nie dawało mi spokoju. Dlaczego dziewczyna znalazła się późnym wieczorem w ciemnym lesie? Co tam robił Traszka? Dlaczego wsadził ją do własnej łodzi, którą potem podpalił? Był stąd, znał jezioro, mógł po prostu obciążyć ciało i wrzucić na głębinię. I to kłamstwo, że oglądał telewizję: głupie i niepoważne. Wyglądało to tak, jakby spanikował. Dlaczego nie przygotował sobie lepszego alibi?

Szedłem wzdłuż jeziora przez kilkaset metrów, aż dotarłem do starego omszałego pomostu. To właśnie tam Traszka trzymał swoją łódź. Na drugim brzegu spokojnej zatoki widziałem tylko las, z konaru potężnego drzewa zwiisała gruba lina. Latem miejscowe dzieciaki pewnie się na niej huštały i wskakiwały do wody. Żeby tu dotrzeć, trzeba było pójść wąską ścieżką prostopadle od głównej drogi albo tak jak ja – wzdłuż jeziora. Nikt tutaj na pewno nie przychodził przypadkiem.

Tym bardziej zaskoczyła mnie biała lilia, która leżała na pomoście. Biały kwiat, owinięty srebrną wstążką. Kucnąłem przy nim. Ostrożnie go podniosłem, trzymając w dwóch palcach. Szukałem jakichkolwiek znaków szczególnych, czegoś, co mogłoby mi powiedzieć, jak ten kwiat się tutaj znalazł

i kto go położył, ale nic takiego nie było. Zwykły kwiat, zwykła wstążka, jaką można kupić w dowolnej kwiaciarni. Leżał tutaj zapewne od wczoraj.

– To dla Oli? – Usłyszałem za sobą.

Wyprostowałem się i odwróciłem. Przede mną stał starszy mężczyzna, na oko siedemdziesięcioletni, w znoszonej kurtce, spodniach od dresu i kaloszach. Miał gęstą siwą brodę i tego samego koloru włosy, choć rzadkie. Z plecaka wystawały mu wędki.

– Nie wiem – odpowiedziałem zgodnie z prawdą. – Może tak. Nie ja go tu zostawiłem.

Mężczyzna przyglądał mi się przez dłuższą chwilę, mrużąc oczy, a potem wydał z siebie głębokie westchnienie.

– No cóż... Miałem nadzieję, że rozwikłałem zagadkę.

– Jaką zagadkę?

– Kto zostawia te kwiaty – wyjaśnił. – Pojawiają się co miesiąc, co kilka tygodni. Myślałem, że to może jej mama, ale raczej nie. Przecież ona chodzi na grób, całe dni tam spędza. Po co tutaj miałyby je zostawiać?

To pytanie zawisło w powietrzu, jakby naprawdę spodziewał się, że na nie odpowiem.

– Pan ją znał? – zapytałem.

– Ołę? Znałem, znałem – przyznał. – Dobra dziewczyna. Mądra. Wychowana.

– A jego?

– Jego też – powiedział. – Ale wie pan, kogo nie znam?

– Mnie?

Roześmiał się chrapliwie.

– Pan wybaczy – dodał.

Zrobiłem mu miejsce, żeby mógł przejść. Minął mnie i zatrzymał się na końcu pomostu. Ściągnął plecak, wyjął z niego składane krzeselko wędkarskie, rozłożył je i usiadł, a potem sięgnął po dwusetkę wódki cytrynowej. Otworzył butelkę, wypił łyk.

– Nie żebym cokolwiek miał do pana – kontynuował, kiedy przełknął – ale sam pan rozumie, ciekawość człowieka zżera. W Wilkach rzadko pojawia się nowa gęba.

– Jestem dziennikarzem – skłamałem gładko. – Przyjechałem napisać tekst o zamordowaniu Aleksandry. I o tym, kto to zrobił.

– A co? Nie wierzy pan, że to Traszka?

– A pan?

Mężczyzna zakręcił trzymaną w dłoniach butelką i przyglądał się chlupoczącej wewnątrz wódce, jakby to była jakaś zabawka.

– Chodziłem z nim na ryby. – Ostatnie słowo niemal zagłuszył krzyk ptaka gdzieś w zaroślach niedaleko. – Nie że zawsze, ale wystarczająco często, a na rybach poznaje się ludzi.

– Nie odpowiedział pan na moje pytanie.

Skulił się lekko, poprawił kurtkę i zasunął zamek pod samą szyję, chociaż wcale nie było aż tak zimno.

– Nie, nie wierzę – wyrzucił z siebie z trudem, jakby właśnie spowiadał mi się z najcięższych grzechów. – On nie był taki.

– Podobno wywoływał awantury i zaczepiał dziewczyny.

– Tylko po to, żeby gadać pierdoły. Nie powinien tego robić, nie wypada, ale to wszystko, na co było go stać. Gdyby przyszło co do czego, to nawet nie wiedziałyby, jak się do tego zabrać. To debil przecież.

– Debil?

– Wie pan – postukał się palcem w czoło – opóźniony umysłowo. Nie wiem, jak to się teraz mówi. Zawsze był wolniejszy od innych. W szkole miał problemy, życia sobie nie ułożył i z matką do jej śmierci mieszkał. Ona go jeszcze jako tako w pienie trzymała, ale jak zmarła, to się rozleciał. Pił za dużo, głupoty gadał i z ludźmi się bił, bo śmiali się, że głupi. On wiedział... Wiedział, że jest głupi, ale po co ludzie to głośno przy nim powtarzają? No to ich łał, żeby się z niego nie śmiali, a potem same kłopoty z tego miał.

Jakby na potwierdzenie swoich słów pokręcił kilka razy energicznie głową.

– To kto mógł to zrobić? – zapytałem.

Widziałem, że się zawahał. Pewnie miał kilka teorii na ten temat, pomysłów, może słyszał jakieś plotki, ale nie był przekonany, czy może się nimi podzielić z kimś obcym. Postanowiłem go nie naciskać. I tak sporo powiedział. Czekałem cierpliwie.

– Nie wiem – stwierdził wreszcie. – Jak dla mnie to ktoś obcy. Nie stąd. Przyjechał, zabił, pojechał. Szukaj wiatru w polu.

– Przecież podobno nikt tutaj nie przyjeżdża poza sezonem.

– Głupot panu naopowiadali – mruknął.

Wyjął wędkę i pudełko z przynętami. Zaczął przygotowywać sprzęt do łowienia, zupełnie ignorując moją obecność, jakby nagle pożałował, że zaczął ze mną rozmawiać. Nie chciałem mu przeszkadzać. Jeśli mieszka w Wilkach, to na pewno jeszcze się spotkamy.

To, co powiedział, dało mi trochę do myślenia. Nie dlatego, że mu uwierzyłem. Takiej zbrodni potrafią dokonać ludzie, których w ogóle o to nie podejrzewamy – stateczni ojcowie rodziny, bliscy znajomi, starzy i młodzi. Tym bardziej więc mógłby tego dokonać ktoś taki jak Traszka. Niemniej wątpliwości starego wędkarza pokrywały się z moimi. Coś w całej tej sprawie nie grało. Jeszcze nie wiedziałem, co dokładnie, ale wyczuwałem fałsz. I, cholera, po prostu chciałem się dowiedzieć, co tu się naprawdę wydarzyło.

Powieść sensacyjna o długach, które zawsze trzeba spłacać

W Wilkach, niewielkiej lubuskiej wsi, miejscową społecznością wstrząsa tragedia. Zamordowano Olę, której na wpół zwęglone ciało odnaleziono na dryfującej po jeziorze łodzi. Policja szybko typuje podejrzanego – mieszkającego niedaleko miejsca zbrodni Traszkę, znanego z agresji odludka.

Bezimienny – bohater znany z *Prostej sprawy* – pojawia się w Wilkach, nadszedł bowiem czas, by spłacił u Czarnego dług: ma pomóc w wytropieniu prawdziwego mordercy dziewczyny. Czarny jest przekonany o niewinności Traszki.

Szybko wychodzi też na jaw, że zabójstwo to tylko jedna z wielu tajemnic od lat toczących niepozorną wieś jak choroba, a dalsze grzebanie w przeszłości może być śmiertelnie niebezpieczne. Dotarcie do prawdy będzie wymagało zmierzenia się z widmem dawnych zbrodni, głęboko zakorzenionymi uprzedzeniami, grupą holenderskich dilerów i przedsiębiorczą softyską, bez której zgody w Wilkach nie dzieje się nic.

KUP TERAZ!

cena 42,90 zł



w sprzedaży także



PATRONAT MEDIALNY

 lubimyczytać.pl

PORTAL
KRYM...NALNY